№ 5. Warszawa, dnia 18 (30) Stycznia 1896 r. Rok XXXII.

PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:
We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:
kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**
EKSPEDYCYA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY
Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austryackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.
W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.
W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

POGAWĘDKA.

Jestem w ogromnym kłopocie: każdemu potrzeba oddać to, co się mu należy, a ponieważ w danej chwili króluje karnawał, należy się więc pokłon najpierwszy temu mocarzowi zabaw.

A zatem...

E—nie! nie kłaniałem mu się nigdy i teraz zbyt nisko przed nim nie uchylę czoła. Ale zawsze poważny to pan i wart wspomnienia. Zresztą w danej chwili, komu a komu, to mnie, jako gawędziarzowi, pominąć go nie wolno, nie przez obawę niełaski tego pana, bom nie dworował mu nigdy, lecz tu głównie mi o was chodzi, szanowne czytelniczki wsi spokojnych, które rade byłybyście wiedzieć, jak się wielkomiejski świat bawi.

Jestem w kłopocie.

Były zapowiedziane maskarady, bale kostyumowe i niekostyumowe—lecz ani maskarad, ani balów, w całem znaczeniu tych wyrazów, nie było. Sale redutowe, jak już wiecie dwukrotnie świeciły pustkami, udająca się zwykle *trzecia* maskarada fatalnie zawiodła oczekiwanie panów, którzy widząc maseczek kilka o podejrzanej wartości moralnej, nie byli skłonni do intryg i do maskowania się tam, gdzie się śmiało bez masek obchodzi. Zdaje się, że czas już niedaleki, gdy tym zabawom zaśpiewamy *requiescant in pace!*

Po tych coraz fatalniejszych próbach, mieliśmy prawo spodziewać się, że bale publiczne, mające cele filantropijne, udadzą się wyśmienicie. Trapistką Warszawa nigdy nie była, a po paru latach dość cicho przepędzonych rozhulać się na dobre potrafi. Tymczasem... coś się popsuło, czy poprawiło—albo ja wiem!

Wprawdzie zabaw kilka powiodło się doskonale Do takich należało *okrężne* na Dynasach, bal handlowców i innych parę. Lecz to za mało na Gród syreni, lubiący się aż do znużenia upajać roskosznym wirem tańców. Doroczny bal na „Przytulisko," którego główną gospodynią była ks. Jerzowa Radziwiłłowa, miał prawo liczyć na zupełne powodzenie. Zrobiono wszystko, by zabawa udała się: wspaniała ratuszowa sala była cała ozdobiona kwiatami, wszystkie panie otrzymały piękne butonierki, stalugi były zapełnione wachlarzami, malowanemi przez najpierwszych u nas artystów—jednak, mimo tych ponęt wszystkich, zjawienie się nawet w komplecie mężczyzn, nie zapełniło pustki, wiejących chłodem, salonów.

Dla czego?

Panie nie przybyły—a cóż jest wart bal, bez tych najpiękniejszych kwiatów?

Zaledwie szesnaście par mogło stanąć do mazura... Było więc pusto, zimno i niezabawnie!...

Włodzimierz hr. Weysenhoff z ks. Czetwertyńską i p. Michał Karski z hr. Potulicką rozpoczęli bal walcem. Wśród tego szczupłego grona dam imponowały strojami: Jerzowa ks. Radziwiłłowa, z Wołowskich hr. Potulicka, ks. Mirska i Alfredowa Czarnowska. O godzinie 12-ej, dwaj znani malarze Cichocki i Wielogłowski, pierwszy w kostiumie araba, drugi Albańczyka—wstępują na salę boć to przecie miał być bal kostiumowy; wspaniałe i artystyczne stroje budzą ogólny podziw—ale, na tem kończy się zabawa mająca być kostiumową. Ach! był jeszcze jeden kostium damy pewnej—ale o nim wspominać bez... rumieńca nie można...

Panie—zawiodły!

Dla czego? pytałem sam siebie, a różne myśli przychodziły mi do głowy. Nie gniewałem się za ten zawód, bo on może zdradzał pewną dojrzałość ogółu, polegającą na tem, że *udany* bal, pociągnąłby za sobą ogrom wydatków na stroje, a nie każdy mógłby dorównać kilku rodzinom bogatym, mogącym setki rubli z lekkiem rzucić sercem. Dorównać—trudno! nieodpowiedzieć zaś całkowicie wymaganiom przedsięwziętej zabawy—może za przykro; zatem—usunąć się lepiej, niż narazić się na wydatek, mogący w następstwie zaciężyć na budżecie domowym.

Gdy było tak—rozumnie było. Mówię warunkowo, bo rzeczywistej nie znam przyczyny. Jednocześnie nosiłem się z jakimś smutkiem w sercu. A może przyczyną tego było zubożenie społeczeństwa? Wirowało kilkunastu mężczyzn i kobiet z domów zamożnych—a resz a?

Reszta nie mogła należeć do nich— —

Tak! u nas jednostki śpią na krociach, jeżeli nie na miljonach—ogół walczy ciężko o chleb powszedni i coraz rzadziej w pawie pióra stroić się może. Smutno, że do tego zmusza—konieczność, nie — zdrowy rozum. Tak myślałem, nie wydaję jednak z góry sądu o tej sprawie.

Warszawa się jednak bawi—donoszą o tem dzienniki. Nieczytający jednak tych doniesień, zapomniałby zupełnie o karnawale w tych chwilach zapustnego szału. Przed laty ośmiu inaczej mi się przedstawił Gród Syreni; pierwszy raz zawitałem do niego, jako stały mieszkaniec. Nie wiedziałem gdzie się bawią i kto się bawi, a jednak sama powierzchowność miasta zdradzała wesele. Zaledwie cienie okryły ziemię, na wszystkich ulicach, to w tej to w tej kamienicy rozświecały się okna jarzącem światłem, dźwięki muzyki wybiegały na zewnątrz i słyszeć mogłeś rytmiczny takt mazurowy, liczyć ilość skrzesanych hołupców. Nie tylko gwarno było na piętrach—nie ustępowały im w niczem suteryny. Orkiestrę lub hałas fortepianu zastępowały tu katarynki lub harmonje. Dziarski oberek szedł kołem, towarzyszyły mu śmiechy i okrzyki, wrzała szczera, nieprzymuszona zabawa, Przechodziłeś miasto całe i słyszałeś orkiestrę, fortepian lub harmonję. Karnawał—więc się bawiono.

Dziś jest cicho — —

W kamienicach przeważnie ciemno — rzadko ci do ucha rozkoszny dźwięk walca doleci, hałas wesołych głosów zatrzyma. Myślisz, że domy prywatne do publicznych sal się wyniosły, lecz rozczaro-

wują ciebie na dzień drugi dzienniki sprawozdawcze. Oczywiście, że miasto się bawi — lecz co za różnica z zabawą dawniejszą. W ciągu niejednej nocy przechodziłem różne ulice miasta i nic mi nie przypomniało karnawału. Mam zresztą sporą kupkę znajomych—no, i sam nie jestem od tego, bym nie pomknął w takt mazurowy. „A—tańczyłem“—ten i ów mi powiada — lecz głosem tak nie zabawnym, że dziwić się tylko trzeba, po co on tańczył? — Nie wiele, zdaje się, wspomnień tegoroczny karnawał zostawi po sobie.

A może — innemi oczyma patrzyłem wówczas... Lecz nie—nie popełniłem omyłki.

Właściwością jest zapust—zabawa, postu—słuchanie prelekcyi wygłaszanych z publicznych katedr. Tymczasem teraz właśnie te publiczne odczyty cieszą się niemałemi względami publiczności.

Do najciekawszych, nie ze względu na przedmiot, lecz na śmiałość prelegenta, zaliczamy odczyt Juliana Ochorowicza „O medjumizmie“.—Po podniesionych głosach prasy naszej i zagranicznej o zdemaskowaniu pani Eusapii — szanowny profesor nie zawahał się wystąpić z obroną, jakoby przegranej już sprawy. A wiodła go ku temu nie ambicya dotknięta, lecz silne przekonanie w prawdziwość zjawisk, których zbadaniu poświęcił swój rozum duży i nieposzlakowane imię uczonego.—Występ ten nazwaliśmy śmiałością, bo niejeden lękałby się śmieszności i szyderstwa, lubiącego szydzić — tłumu. Lecz Ochorowicz był nadto pewny siebie i jeżeli nie przekonał--umiał zająć słuchaczów i z niejednych ust strącić lekceważenia uśmiech. Co dalsze badania w tym przedmiocie powiedzą—nie nam przesądzać — rzecz pozostaje w zawieszeniu; antimedjumiści zawcześnie głosili swój tryumf, a Ochorowicz odczytem swoim dowiódł, że łatwiej śmiać się niż badać, że obracająca się dziś ziemia, stała niegdyś na niewzruszonych podstawach, choć więcej miała ongi przeciwników, niż dziś ich ma medjumizm.

Nie śmiejmy się—choćby dla tego, by z czasem z samych siebie się nie śmiać. Niech nawet medjumizm okaże się farsą, Ochorowicz nie przegra sprawy. Nie przesądzał—lecz badał. Badanie dopiero powie: tak—lub—nie!

Wspominaliśmy parokrotnie na tem miejscu, podnosząc dodatni ten fakt, że czytający nasz ogół nie bardzo zważa na głosy krytyków o tym lub owym wygłoszonych pisarzu, lecz, że sam umie odróżnić ziarno od plewy i kieruje się własnem przekonaniem, nie potrzebując już mentorów. Oczywiście, że są uczeni krytycy, którzy pozyskali wiarę ogólną; sądy takich ważą nie mało i pożądane są dla czytających wskazówką. Żeśmy się nie mylili, jest dowodem głos jednego z prowincyonalnych czytelników, protestujący (Głos N. 3) przeciwko, nie wystąpieniu, lecz sposobowi, w jakim wystąpił p. Wł. Zagórski (Chochlik), przeciwko Piotrowi Chmielowskiemu w „Słowie“, za ostatnią jego pracę p. t. „Współcześni poeci nasi“.—Nie będziemy tu roztrząsali czy miał, czy nie miał słuszności pan Zagórski, pominiemy nawet przyzwoitość lub nieprzyzwoitość w traktowaniu przedmiotu a zwracamy tylko uwagę na jeden ustęp protestu, w którym ów głos z prowincyi wyraźnie zaznacza, że mylą się panowie krytycy, sądząc, iż prowincya jest tak zacofana, że bez wskazówek krytyków warszawskich radyby sobie dać nie mogła. Przeciwnie! głosy tych panów recenzentów nie wiele u niej ważą, ona ma swój własny sąd, wyrobione pojęcie o pięknie, a jeżeli wielkim mirem u niej cieszy się głos takiego Chmielowskiego—no, bo to Chmielowski, umysł o wiedzy rozległej, sądzie bezstronnym, który swoje *ja* zupełnie na uboczu zostawia, gdy pisze o kimś. U niego nic nie znaczą osobiste stosunki, niechęci jakieś, zawiść marna; nie człowieka, lecz pisarza sądzi, a zatem — pomylić się może, bo *errare humanum est* — lecz na jego zdanie nie wpłyną złe lub dobre stosunki z autorem, boć to nic do rzeczy nie należy. I patrzcie państwo! ta prowincya zrozumiała doskonale jakim jest ten pisarz, o którym mowa; że języka nie zbłaźni, namiętnością się nie oślepi, ale rozumny sąd wyda. — I oto jeden tylko krytyk u nas zyskał tak wielką popularność, że gdy go zaczepiono, nie zawahał się z protestem wystąpić głos z prowincyi.

To dobrze — życie nie powinno skupiać się li tylko w murach miejskich.—Każdy taki objaw witam z radością, bo pycha miast przytarta nieco być powinna, bo gdy chodzi o życie duchowe, decentralizacya jest konieczną i wiele mówiącą. A już to niejednokrotnie przekonaliśmy się, że bardzo skrzywione pojęcie o tej prowincyi mamy; radzibyśmy niejednokrotnie głos podobny posłyszeć, któryby nam powiedział, że tam nie śpią umysły, a żywo serca biją, a oczy jasno patrzą i dobrze widzą.

Niezupełną zdaje się nowością będzie, lecz tylko rzeczy starej wznowieniem, to — abonamentowe przedstawienie każdego poniedziałku w Teatrze Rozmaitości. Jeżeli się nie mylimy, mniej więcej w ten sam sposób odbywały się przed niewielu laty, tak zwane wieczory Fredrowskie. Rzecz polega na tem, że pewne grono osób, na zasadzie umowy z Dyrekcyą, zobowiązuje się połowę przynajmniej Teatru zapełnić widzami, za co w zamian ma prawo wyboru sztuk, które co poniedziałek przedstawione być powinny.

Myśl bardzo dobra, a zamieniwszy się w czyn, jak dotąd, pożądanemi wynikami się cieszy, bo Teatr nie świeci pustką, Dyrekcya nie ponosi straty, a doborowa publiczność może smak swój zadowolnić dziełami ulubionych autorów. Ale nie dość na tem, że arcydzieło Fredrowskie i taki Pan Damazy Blizińskiego, mające zawsze moc przyciągającą, będą się wciąż cieszyły względami publiczności,—zarządzający poniedziałkami, powinniby niejedną z ukrycia wydostać perłę, zwrócić uwagę na sztuki jeszcze nie grane, które, bądź co bądź, zyskawszy uznanie krytyki i czytającego ogółu, ukazały się światu w książkowej formie, ale ze względów różnych, dających się zresztą usunąć, nie mogły się dotąd dostać na deski teatralne. Byłoby to wielką zachętą dla dramaturgów, którzy, nie zawsze dzieła swoje za życia na scenie ujrzeć mogą. W ten sposób niejeden by się poważny wysunął dramat, niejedna tragedya wstrząsnęła sercami widzów, i możebyśmy nie byli tak bardzo ubodzy w dzieła, które w dziedzinie sztuk pięknych, stanowią królewską ich koronę. Wiem, że niejednemu utworowi koszt wystawy nie małą byłby przeszkodą, lecz nowość ma zawsze urok pewien, a jeżeli nowość jest rzeczywiście piękną, poprą ją ci wszyscy, którym na sercu leży rozwój narodowej sztuki. W ten sposób pożyteczne z przyjemnem pójdzie w parze, a niejednemu pisarzowi wielki ciężar z serca się stoczy.

Nie znam warunków umowy, między Dyrekcyą a zarządzającymi wyborem sztuk poniedziałkowych, lecz zdaje mi się, że myśl podana nie jest niewykonalną, byleby dramatopisarz wiedział dokąd ma się udać i z kim w danym rozmówić się przedmiocie. — Jeżeli nasz głos dojdzie do uszu zainteresowanych w tej sprawie, możebyśmy pogadali o tem na dobre i niejedną rzecz piękną a pożyteczną stworzyli, a dużo znalazłoby się do powiedzenia, bo przedmiot nie małej jest wagi i wiele poważnych myśli nasunąć nam może.

Z brukowych wiadomości nie wiele do zanotowania mamy. Drażnią mnie tylko dość często podawane wiadomości w dziennikach o wypadkach zakażenia krwi, a przyczyną było jakieś głupie ukłucie szpilką lub wpędzenie drzazgi pod ciało. Usiadła sobie jakaś bakteryjka na końcu ostrego narzędzia lub suchej gałązki drzewa i—spowodowała gangrenę, za czem idzie odjęcie nogi lub ręki, a i śmierć nie rzadko.

Co to jest?

Czy tych paskudnych zarazków więcej dziś rozpleniło się na świecie, czy organizm ludzki stał się daleko mniej odporny, niż to dawniej bywało?

Przypuszczam to drugie, a doprawdy. że nie bez zasady przypuszczam.

Ludzie mający krew zdrową, w których prawidłowo zupełnie odbywa się przemiana materyi — nie lękają się podobnych kazusów. Pomaga im nieraz do zatamowania krwi z wypadkowego rozcięcia, odrobina pajęczyny przysypana kurzem, którą gdzieś w kątku nieuważna pozostawiła służąca. Nie twierdzę, ażeby ten środek, aczkolwiek praktykowany przez ojców naszych, mających z szablicami wciąż do roboty—był doskonałością; może nawet za sobą pociągnąć złe skutki, bo na takiej pajęczynce nie jedna warstwa kurzu spoczywa—powiadam jeno, że krew zdrowa i tego specyfiku nie ulęknie się, podczas, gdy niejednemu zadzierka koło paznogcia, każe palec obwiązać a nawet doktora wezwać.

Co to jest? raz jeszcze pytam.

Ech! źle się prowadzimy i nie czerwoną krew już w żyłach mamy. Wyniszczony organizm, nie ma dość siły odpornej by moc swą przeciwstawić jakiemuś mikrobowi, który nieproszony pod skórę naszą zalazł. Znam takich paniczów, którym palce puchną od silnego uścisku; lada zadraśnięcie, sprowadza zapalenie i ból dolegliwy. Nie szpilka to winna, ale znędznienie fizyczne, zepsuta krew w młodem już ciele.

Zszedłszy na tor wypadków codziennego życia, musimy przytoczyć fakt jeden, który aczkolwiek mówi o dobroczynności naszego miasta, jest zarazem dowodem, że dola żebracza nie jest tak złą jak się na pozór zdaje.—W tych dniach—wedle doniesienia jednego z dzienników, wyszła za mąż córka ubogiej właścicielki magli, Marya K. za czeladnika tapicerskiego M. Panna, trudniąca się szyciem, posagu nie miała, a macierz zdobyła się zaledwie na skromną wyprawę. Nazajutrz po ślubie, zgłosił się do nich znajomy im żebrak Ignacy, człek stary, sam przesiadujący pod kościołem Sw. Aleksandra. Żebrak, pozdrowiwszy pannę młodą oświadczył, iż ponieważ dawna panna Marya nigdy o nim nie zapomniała, on nawzajem przynosi jej skromny upominek, jako wiano—i przy tych słowach wręczył jej pugilares, zawierający nie mniej ni więcej, jak 500 rs. Zdziwienie było niemałe, a poczciwy staruszek dodał, że po śmierci znajdzie się tam tego jeszcze więcej, niech tylko nie zapominają o biednym żebraku. Obdarzeni tak niespodzianie chcieli u siebie pana Ignacego zatrzymać na stałe i dać mu opiekę—ale, że natura wilka ciągnie do lasu—wymówił się od gościny i poszedł znów pod kościół, by grosz do grosza składając, zebraną kabzę rublami wypełniać.

Opłaca się więc czasem żebractwo, a nie potrzebuje ni rąk do pracy ni umysłowego wysiłku. Postępek jednak pana Ignacego, bądź co bądź, mówi, że jeszcze wdzięczność tuła się gdzieś po świecie, a nie dziwimy się wcale jego powrotnej pod kościół drodze: przywykł już do dawnych murów świątyni, do jałmużniczej piosenki swojej, do dźwięku rzucanej mu przez przechodniów monety. Jeżeliby pan Ignacy był psychologiem, dużoby ciekawego o ludziach mógł powiedzieć, bo każdy z ofiarodawców datek swój z innym wyrazem twarzy rzucił, nieraz odwrócił się znacząco, nieraz grosz dając niechętnie zaopatrzył to dobrodziejstwo swoje w słowa uwagi jakiejś.

Dość ciekawe byłyby pamiętniki takiego żebraka.

Przed kilku dniami przechodziłem koło kantoru na placu Saskim, gdzie sprzedawano losy do loteryi klasycznej. Tłok, ścisk, hałas, popychanie się wzajemne, bo każdy chciałby stanąć pierwszy przy okienku kasowem i szczęście kupić.

Nie inaczej się działo w innych kantorach. Wstępnym bojem wejście tylko zdobywali ludzie nie robiący ceremonii z praw etykiety, przeważnie zaś chałaciarze.

Wzbronienie przedwczesnych zapisów w książkach kollektorskich, nie powiemy, ażeby na dobre wyszło. Nadużyć nie usunięto—bo do czwartej lub piątej klassy—bilety zawsze się znajdą, tymczasem publiczność przyzwoitsza raz na zawsze od udziału w tej grze na chybił-trafił, odsuniętą została. Chcący jednak szczerze probować szczęścia, znajdzie bilet i do pierwszej klassy; w tym wypadku zawsze się usłużny handlarz znajdzie, i dowolną ilość nawet biletów odstąpi, biorąc na każdym zwyżkę dwóch rubli.

Pytanie:

Jak ci panowie dostają bilety?

— Cierpliwi są— —

To prawda! ale od piątej czy szóstej rano stać przededrzwiami mieszkania kollektora czy kollektorki—to trochę za wiele poświęcenia dla niepewnego losu. Słowem—dostają ci, którzy zaraz handel robią, człek zaś biedny, nie mogąc kilku godzin czasu na daremne nieraz czekanie poświęcić i nie chcąc mieć boków otłuczonych, lichej nie dostanie ćwiartki.

Przypomniała mi się stara piosenka:

„Nie tak in illo tempore bywało...“ Zamienił stryjek: za siekierkę kijek i—odmienić go już za nic nie chcę!

Ach! czas już kończyć nie zbyt bogatą w treść pogawędkę dzisiejszą—a smutno mi, że jej wesołym uśmiechem kończyć nie mogę. W roku ubiegłym ubyło z naszego koła kilku ludzi rzetelnej zasługi—rok bieżący byt swój od sypania mogił rozpoczął.

Zmarł Feliks Jeziorański, d-r Karol Kaczkowski i Franciszek Jawdyński.

Śmierć dwóch pierwszych nie odbiła się tak boleśnie w sercach naszych, jak męczeński zgon d-ra Jawdyńskiego. Tamci byli już ludzie zgrzybiali wiekiem; co mogli dać społeczeństwu, dali i poszli na wieczny odpoczynek. Doktór Jawdyński padł w pełnej sile wieku, mając przed sobą długi lat szereg, pole do czynów nowych i nowych zasług. Społeczeństwo z nim traci zacnego obywatela kraju i pełnego poświęceń lekarza, nauka dzielnego szermierza.

Jawdyński był dzieckiem Warszawy, urodził się w niej d. 2 Grudnia 1851 r. W latach dwudziestu ukończył gimnazyum i wstąpił do uniwersytetu, a po odbyciu pięcioletnich studyów lekarskich został ordynatorem kliniki chirurgicznej szpitalnej. Po dwóch latach przeszedł na takież stanowisko do szpitala Ś-go Ducha, gdzie wciągu lat ośmiu wiedzą swoją i doświadczeniem pomagał studentom odbywającym studya kliniczne. W r. 1886-ym otrzymał Jawdyński posadę ordynatora w szpitalu praskim, a w ciągu ostatnich lat dwóch był ordynatorem w szpitalu Dzieciątka Jezus.

Zajęcia obowiązkowe nie przeszkadzały Jawdyńskiemu oddawać się pracy naukowej; ogłaszał drukiem ciekawsze spostrzeżenia ze swej praktyki i redagował przez lat sześć „Pamiętnik towarzystwa lekarskiego,“ którego członkiem czynnym był przez lat 15, przyjmując żywy udział tak w posiedzeniach naukowych jak i w pracach Zarządu.

Nie dość, że był dobrym lekarzem, był jeszcze człowiekiem, zacnym a zdolnym do każdego poświęcenia. Śmierć jego nastąpiła z powodu zarażenia się od chorego, któremu niósł pomoc. Ś. p. d-r Remigiusz Laskowski z Kielc, zapadł na straszną a nieuleczalną chorobę, nosacizną zwaną. Środka ratunku nie było—jedyna tylko operacya może mogłaby ocalić chorego, lecz nikt się nie znalazł, któryby się jej podjął i dla słabej nadziei ocalenia, życie własne naraził.

Jawdyński nie wahał się przybyć z pomocą—i padł ofiarą swojego zawodu.

Na trzeci dzień po dokonanej operacyi—uczuł gorączkę. Gdy koledzy nie chcieli wierzyć w straszną zarazę—on się nie łudził. Spisał testament i z ogromnym bohaterstwem a krwią zimną oczekiwał śmierci. Śmierć była męczeńska.

Zgon Jawdyńskiego wzbudził żal ogólny.

Nie dziw!

Umarł mąż światły i człowiek wielkiego serca. To też za trumną szły tłumy, a mary otoczono wieńcami, a łzą niejedną żegnano dobroczyńcę—lekarza.

Pokój mu! Jak żołnierz padł na stanowisku.

??

KĘDY DROGA?

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA

przez

Wandę Grot-Bęczkowską.

(Dalszy ciąg).

VIII.

W chacie Gwiaździny lament i wrzawa. Kumoszki zawodzą żałośnie, dzieci płaczą po kątach, niekiedy ozwie się cichy jęk chorej lub modlitwa.

Przy kominie z roztarganemi kosmykami siwych włosów wyglądających z pod brudnej chuściny, w zgrzebnej koszuli, z rękawami do łokcia podwiniętymi, stoi znachorka Kurzelina, warząc jakieś ziele, którego ostry zapach rozchodzi się po izbie.

Głosem monotonnym, jak krople deszczu uderzającego zwolna o szyby, powtarza słowa zaklęcia, mające dodać mocy kipiącemu w garnku zielu do wypędzenia „złego“ z dogorywającej na łóżku kobiety.

— Bodajeś odeszło za Borowską granicę — mówiła z przejęciem — za Maliszewskie bory, za oną wielgochną górę, co podle Marcinowej chudoby stoi, za siedem rzek i siedem jezior i siedem strumieni... Bodajeś się owinęło kole onego świerka, co za siedmioma górami, siedmioma borami i siedmioma miastami, pode drogą siamiuśki stoi...

— Bójta się Boga, musi nie trafi — zauważyła jedna z kobiet bliżej stojących.

— Co ma nie trafić! — oburzyła się baba.—Jak ino zamówienie dobre jest, to zawdziuteńki trafi.

I mruczała dalej kreśląc kółka nad garnkiem, mieszając kopystką, odliczając krople, które, za pazuchą ukryte miała.

— Matko Najświętsza! ratujcie! — ozwał się słaby głos chorej.—Już mi tych mąk nie ścierpieć, już bólu tego nie strzymam.

— Trzeba ją nasmarować, przeciągnąć, — zadecydowała Kurzelina. Odstawiła garnek, nakryła i do łóżka podeszła. Popatrzyła na chorą.

— Hmm!—mruknęła.—„Złe“ bonuje po kościach, aże palce powykrzywiało. Podsuńcie ławę pod okno, Matysko!

Po chwili Gwiaździna leżała na twardej ławie a Kurzelina nacierała ją, aż stawy trzeszczały. Matyska przysunęła się ze szkaplerzem i święconemi wiankami.

— Okadźcie ją tymiankiem i rozmarynem—szepnęła.—Toć święcone.

Kurzelina odepchnęła ją.

— Weźcie, weźcie! póki bóle nie wyjdą, od święconych rzeczy zdaleka. Nie przeszkadzajcie!

Kobiety odstąpiły.

Kurzelina pochyliła się i pocisnęła mocno lewy bok chorej.

— Wychodź!—mówiła z przejęciem.—Wychodź tędy, którędyś wszedł!

Gwiaździna jęknęła.

— Bokiem nie wyjdzie — mruknęła baba i pocisnęła żołądek.—Pewniuśko z chlebem je zjadła...

Gwiaździna jęknęła żałośnie, aż się kobiety wstrząsnęły, a dzieci płaczem wielkim zawiodły.

— Nie ruszajcie, nie dotykajcie!—błagała, resztkami sił broniąc się przed silnemi rękami Kurzeliny.

Baba nie ustępowała. Zawezwawszy do pomocy tęgą Matyskę, targała członki chorej, wyciągała nogi, ręce...

— Matko Najświętsza! — krzyczała Gwiaździna, rzucając się jak w konwulsyach.

We drzwiach izby ukazała się Amelka.

— Co się tu dzieje?—spytała przerażona.

Kurzelina śmiało wystąpiła na środek izby.

— Proszę jasnej panienki—zaczęła rezolutnie—kobiecisko a to chorzało i chorzało, a wszyćko bez to „złe“ co w niej siedzi.

Amelka oburzona odsunęła ją i podeszła do chorej.

Gwiaździna oddychała z trudnością. Oczy stały słupem, w piersiach krew bulgotała.

— Zanieście ją na łóżko, — rozkazała tłumiąc łzy. — Ach, jakiż to ciemny lud, jakie przesądy! I czy wam nie żal męczyć tak nieszczęśliwą?...

Matyska pocałowała ją w rękę.

— Proszę jaśnie pani, nikt przecież na złe nie chce, ino na dobre!—odparła. — Juści trzeba wygnać dopust Boży, bo jakże? Będzie to tak cierpieć i cierpieć? Toć nie strzyma...

— Ale co wam się uroiło?—mówiła rozgniewana Amelka, z trwogą przyglądając się chorej. — Nie trzeba było ruszyć jej z łóżka... Możeście jeszcze i wewnątrz lekarstwa jakie dawali?...

Kurzelina uczuła się obrażoną.

— Niech jasna panienka pozwoli dokumentnie wszystko wysłowić...—odezwała się, ścierając ławę fartuchem i posuwając ją Amelce. — Gwiaździnie ktosik „złe“ z chlebem podał... A jakże! Bez to i leży i choróbsko ją zmogło.

— Nieprawda!—zawołała Amelka.—Kobieta już była prawie zupełnie zdrowa. P. doktór z Zambrówki leczył ją od tygodni kilku i ja doglądałam. Dopiero naraz coś się zrobiło?...

— Gwiazda ją tęgo sprał, proszę panienki, — ozwała się Matyska.

— Albo to raz?—mruknęła Szczepanicha.—Cięgiem klął i markotał, co gospodyni w chałupie nie ma, dobytek się marnuje i dzieciska w gałganach chodzą... Juści prawda! samam słyszała i widziała, bo ja to wpodle nich siedzę...

— Mój Boże!—szepnęła Amelka, spoglądając na bezprzytomną Gwiaździnę — przecież ona ciężko chora i po operacyi, doktór wszelkich ruchów zabronił...

— O, nadźwigała się, panieneczko, co nie miara, niech ino p. doktór za drzwi wyszedł...—rozgadała się Szczepanicha.

— Głupstwo z przeproszeniem jaśnie pani!—zawołała energicznie Kurzelina. — Ta komornica co u Antka Chojaka na komornem siedzi, urok na nią rzuciła i tyla. Jużem ja nie raz i nie dziesięć takie nawiedzenie oglądała i odganiała. Bywało w Maliszewie u sołtysa, dziewczynę nawiedziło... Panie Święty! gdzie oni z nią nie jeździli, co pieniędzy natracili Nie pomogły żadne dochtory. Dopierój po mnie jakoś przed Gromniczną przysłali i jakem wziena okadzać!...

— Ino nie kłamcie, Kurzelina—ozwała się stara jakaś babina.—Przecie ją do kościoła zawiedli i Pan Bóg dopomógł.

Gwiaździna poruszyła się na łóżku.

Amelka troskliwie pochyliła się ku niej.

— Lepiej wam?—pytała.—Może się wina napijecie?

Chciała wlać jej w usta kilka kropel wina, które z sobą przyniosła, ale chora zacisnęła wargi kurczowo.

— Zaraz doktór przyjdzie...—pocieszała ją Amelka.—On z pewnością ból wasz złagodzi... Gdyby nie Hanka, nie byłabym wiedziała, żeście zasłabli znowu.

Pogłaskała bladą, nędzną dziewczynkę, która do kolan jej przypadła.

W tem chora dostała krwotoku. Amelka przerażona nie wiedziała, jak sobie radzić.

Kurzelina dowodziła, aby nie przedsiębrać środków żadnych, bo to już „złego“ sprawa i drażnić go nie trzeba; baby nieradne kiwały jeno głowami.

Na dworze rozległ się turkot. Rącze kuce Janiny zatrzymały się przed chatą.

— Młodsza panienka przyjechała!... — szeptały kobiety, przyglądając się ciekawie.

Amelka podtrzymywała właśnie głowę chorej, gdy we drzwiach zjawiła się Janina.

— Co się stało, Janiu?—spytała, nie odwracając oczu.

Dotąd siostra nigdy jeszcze nie towarzyszyła jej w wycieczkach na wieś, twierdząc, że brudny lud wiejski razi estetyczną jej naturę. Oczywiście mówiła tak na przekorę Amelce, bo w istocie rzeczy serce miała tkliwe.

— Deszcz pada, więc przyjechałam po ciebie, Amelciu!—odparła.—Jadąc, spotkałam p. Dembińskiego, który brnął po wodzie z prawdziwie doktorską obojętnością...

— Ach, więc jest już doktór? — ucieszyła się Amelka i delikatnie ułożyła głowę chorej na poduszce.—Jaka szkoda, że nie zabrałaś go do powozu? Taki deszcz!

— Jestem na usługi pani — rzekł, wchodząc Dembiński.—Cóż się stało chorej?

Uścisnął serdecznie rękę Amelki i zbliżył się do łóżka.

— My tu niepotrzebne jesteśmy!—szepnęła Janina.—Wyjdźmy!

Oglądała się w około z obrzydzeniem, bo w chacie panował nieporządek i zaduch; dzieci spłakane, nie umyte, nie uczesane, w łachmanach, nie ledwie wstręt obudzały...

Amelka skinęła głową. Wysunęły się cicho do sieni i Szczepanicha wyszła za niemi.

— Pewnikiem wieczora nie doczeka — mówiła, zawodząc głośno, aż ją Janina ofuknęła zniecierpliwiona. — Tyla dzieci, tyla dzieci i gadzina się zmarnuje i któż te kartofliny, co se niebożątko posadziła, wykopie?...

Dziewczęta spojrzały na nią oburzone.

— Ona więcej kartofli żałuje, niżeli dzieci... — szepnęła Janina.

Amelka zwróciła się do kobiety z prośbą.

— Popilnujcie chorej,—rzekła.—Ja wam to wynagrodzę... I przecie izbę trochę ogarnijcie, bo to wstyd dla was sąsiadek, że taki nieporządek u chorej znieść możecie.

Szczepanicha skrzywiła się.

— Co tam! Chłop tego nauczny — odparła.— Żeby ino zawdy w garnek było co wsypać!... A ja też czasu wiela nie mam... Trzeba staremu kapotę narządzić.

— Przecież mówię, że wam zapłacę...

Szczepanicha wahała się jeszcze.

— Amelko! — zawołała z oburzeniem Jania.— Przyślemy tu którą z dziewcząt z czeladnej i zrobi, co będzie potrzeba. A wy powinniście się wstydzić, kobieto! Taka blizka sąsiadka i taka nieuczynna!

Ujęła pod ramię Amelkę.

— Co będzie z doktorem?—spytała. — To ważniejsze! Wezwałaś go umyślnie... Walenty go wprost ze szpitala porwał... powinnaś mu podziękować...

Amelka zarumieniła się.

— Właśnie, że nie wiem—wyjąkała. — Janiu, moja droga! jak ty sądzisz? Możeby rodzice się zgodzili, aby p. Dembiński zatrzymał się u nas, nim deszcz padać przestanie? Patrz tylko jaka mgła w około... Czyż podobna przepłynąć teraz jezioro?

— Istotnie!—odparła na wpół obojętnie Janina, bystrem spojrzeniem ogarniając jezioro, nad którem, spuszczała się nisko olbrzymia chmura i ulewnym groziła deszczem.

— Jedźmy!—rzekła.—Mama w tej kwestyi niewątpliwie coś nam doradzi.

Do sieni wybiegł Dembiński.

— Czy mogę prosić pani?—zwrócił się do Amelki z receptą. — Potrzeba natychmiast posłać kogo do apteki...

— Więc jest niebezpieczeństwo?... — spytała wstrząsając się mimowolnie Janina.

Doktór spojrzał na nią bacznie. Chciał w pytaniu tem odblask tkliwości kobiecej odnaleźć, ale piękna twarz dziewczyny była spokojną. Nie czekając odpowiedzi, zawołała na chłopca, który trzymał konie, aby zawrócił.

— Poślę Walentego,—rzekła Amelka, biorąc receptę. A może się tymczasem coś w pałacu znajdzie?... Ach! jakie to smutne, p. doktorze! Wszak ta kobieta żyć mogła, gdyby nie ciemnota i złe obejście męża. Nie przypuszczasz pan nawet, jakiej sceny byłam świadkiem!

Łzy zakręciły się jej w oczach.

— Amelko, pójdź!... konie się niecierpliwią,—wołała Janina. Amelka uścisnęła dłoń Dembińskiego.

— Powrócę wkrótce z lekarstwem,—rzekła.—Jaki pan dobry!... — Wskoczyła do powozu, a kuce jak wicher pomknęły.

Stojący we drzwiach sieni lekarz otrzymał wprawdzie lekki ukłon Janiny, ale spojrzenie jej pobiegło gdzieindziej.

Krasnohorski powracał właśnie z polowania z hr. Brunonem, gdy Jania zręcznym ruchem osadziła kuce przed pałacem.

Panowie byli zmokli, głodni, torby mieli puste, więc i humory kwaśne. Krasnohorski wąsa przygryzał ze złością, a spostrzegłszy córki wybuchnął.

— Spacer przy takiej niepogodzie? To także amatorstwo, moje drogie!... — mówił do dziewcząt, całujących jego ręce.

Hrabia zapatrzył się na Amelkę.

— Co pani jest dzisiaj, p. Amelio?—spytał po chwili.—Pani czegoś smutna... Nieprawdaż?

— O! powód do smutku znajdzie się zawsze prędzej, niżeli do wesela...—odparła.—Tyle jest nędzy, tyle cichych dramatów na tym pięknym świecie, że mimowoli serce goryczą zapływa.

— A umysł błąka się w niepewności, dla czego podział taki nierówny?—przerwała Janina.

P. Klemens pogroził jej palcem.—No, no! filozofko, nie baw się rozwiązywaniem problematów...— rzekł.—Dlaczego nie każesz odprowadzić koni do stajni? Nie pojedziecie chyba podczas takiego deszczu?

Amelka rozpaczliwe spojrzenie zamieniła z siostrą. Co tu począć? Kwestya tak stanęła, że trzeba było powiedzieć wszystko.

Zabrała się do tego odważnie Janina.

— Kuce będą potrzebne,—rzekła.—Doktor z Zambrówki jest u chorej Gwiaździny i prosił, abyśmy posłały po lekarstwa. Był tak uprzejmym, że pomimo zajęcia w szpitalu, przybył zaraz na nasze wezwanie.

— Od czegóż jest doktorem? To nie żadna łaska!—wtrącił p. Klemens.

— Ale grzeczność uprzejma, ojczulku, bo przecież nie bierze honoraryum...—ozwała się z mocnym rumieńcem Janina.

— To głupio robi—mruknął znudzony.—Ale o co wam chodzi?

— Oto chodzi proszę ojca, że deszcz pada i taka mgła na jeziorze! Niepodobieństwem jest, aby doktor mógł wracać wodą do domu.

— Więc każ zaprządz i odeślij go końmi.

— Dobrze ojczulku! ale Walenty przed upływem godziny nie powróci z lekarstwem, na które doktor oczekuje ..—broniła energicznie swojej sprawy Janina.—Możeby ojczulek kazał poprosić p. Dembińskiego na obiad?—dodała nieśmiało.—U Gwiaździnej taki nieporządek!

— Dembiński... Dembiński?—powtórzył hrabia.— Czy nie wie pani, jakie imię nosi ów szczęśliwy lekarz, którym się tak czule panie opiekujecie? Nazwisko to nie jest mi obce.

— Wiem, Edward! Edward Dembiński!...—odparła Janina.

— W takim razie to mój kolega szkolny,—rzekł hrabia.—Pamiętam go dobrze. Tęga głowa!

Krasnohorski coś sobie przypomniał.

— Aa, już wiem!—odezwał się.—Od paru tygodni leczy Malskiego. P. Malska jest nim zachwycona... Radbym go poznać!

I ten jeden wzgląd przeciął kwestyę.

W kilkanaście minut potem, lokaj z pałacu dążył do chaty Gwiaździny z biletem zapraszającym od jaśnie pana.

Dembiński nie ceremoniował się wcale, uważając zaproszenie jako akt obowiązkowej grzeczności.

— Raczy pani szanowna wybaczyć, że zjawiam się i w porze niewłaściwej i w ogóle uchyliłem się od przepisów co do pierwszej wizyty—rzekł, kłaniając się p. Krasnohorskiej, ze swobodą człowieka, któremu, ani tytuły ani bogactwo nie imponują bynajmniej.

— Jest to przywilejem pańskiego zawodu, doktorze, że wszelkie formułki towarzyskie nie obowiązują cię...—odparła uprzejmie p. Helena.—Córka moja zaciągnęła podobno dług wdzięczności względem pana? Czy jest nadzieja uratowania chorej?

— Nie,—pani!—odparł stanowczo. Organizm zbyt wyniszczony...

Nadszedł hrabia z prezesem; nastąpiła zwykła wymiana grzeczności, Dembiński serdecznie powitał kollegę.

— Przypuszczałem, żeś już gdzie katedrę profesorską zajął, Edwardzie—mówił życzliwie hrabia.

Dembiński uśmiechnął się —Kandydatów na posady profesorskie nigdy nie zbraknie — odparł. A ja chciałbym coś zrobić dla tych, o których się u nas najmniej myśli... Fabryki właśnie dają ku temu pole... Trudno wyobrazić sobie, jaka tam ciasnota pojęć panuje; najniezbędniejsze warunki hygieniczne trzeba wprowadzać par force...

— Niezbyt przyjemne zadanie—wtrąciła Janina.

— Przeciwnie, pani!—rzekł, patrząc na nią spokojnym, przenikliwym wzrokiem. — Mogę panią upewnić, że stokroć więcej zadowolenia osiągnąć można, pracując między tym tłumem ciemnym, broniącym się energicznie przeciwko wszelkiemu wpływowi światła...

— Szczytny altruizm!.. —rzucił lekko hrabia.— Tyś zawsze, Edwardzie, pozował na idealistę. Pamiętam, jak twoje humanitarne poglądy wywoływały między kollegami wybuchy szczerej wesołości. Nazywaliśmy cię „niańką,“ boś zwykle wodził za sobą zastęp cały moralnych ifizycznych kalek. Widocznie z latami, mania ta wzmogła się jeszcze, skoroś zdolności i ciężko zdobytą wiedzę na jakiemś odludziu zakopał.

— Do pracy umysłowej i tu czas znajdę...—rzekł ze swoim poczciwym uśmiechem Dembiński.

P. Klemens oczu z niego nie spuszczał.

Podobała mu się piękna, myśląca twarz Dembińskiego. Zląkł się trochę o p. Kamillę.

— Dawno pan leczy Malskiego, doktorze?—spytał obojętnie na pozór, ale wzrok wpił w niego badawczy.

— Od tygodni paru,

W odpowiedzi lekarza czuć było niechęć.—Uderzyło to Krasnohorskiego.

— Widzę, żeś pan nie bardzo z pacyenta zadowolony?—uśmiechnął się z ukontentowaniem. Malski istotnie do seryi dziwolągów tegoczesnych należy.

Dembiński się zamyślił.

— Kompletny zanik woli,—rzekł wreszcie.—I oto powód, dla którego choroba stoi ciągle w jednem stadyum. Czas poświęcony p. Malskiemu uważam za stracony.

Hrabia rozśmiał się.

— Jakto? A prelekcye p. Kamilli? Boć oczywiście nie uniknąłeś wspólnego wszystkim losu, — wysłuchania i zachwycania się: „Kobietami w przyszłości,“ „Niewolnicami w teraźniejszości“ i t. d., i t p. rzekł wesoło.

Dembiński potrząsnął głową.

— Wizyty moje w Krzemieniu ściśle ograniczam,—odpowiedział swobodnie.

— Szczęśliwy człowiek z ciebie, Edwardzie!—westchnął komicznie hrabia.—Przyznaj się jednak, żeś nie zamknął oczu na przepyszną urodę p. Malskiej? Trudno jej nie podziwiać...

W ciemnych źrenicach Janiny błysnął gniew.

— Piękność istotnie pełna kolorytu...—odparł, uśmiechając się Dembiński.

— Sztucznego! — wtrącił zcicha hrabia.

— Tycyanowski rodzaj!—zawołał ożywiony Krasnohorski.—P. Malska w Warszawie uchodzi za najpiękniejszą pomiędzy najpiękniejszemi. Czyż nie tak, Heleniu?

— Być może!—odparła chłodno.—Ja tak niewiele zwracam na to uwagi.

— Mnie się wydaje, że patrzę na piękny obraz!— ozwała się Amelka.

Janina nie mogła tego ścierpieć. Twarz ją paliła, w oczach gniew błyszczał. Nie nawykła skrywać swoich uczuć, zawołała:

— Czy nie za wiele honoru dla powierzchownych przymiotów p. Malskiej? Od pół godziny rozbieramy jej wdzięki...

Dembiński, spojrzał na nią uważnie. Rozdrażnienie dziewczyny, którego powodów nie znał, zadziwiło go. O niską zazdrość nie posądziłby jej... A przecież?... Co to miało znaczyć?

Krasnohorski śmiał się zadowolony.

— Dowiedzioną jest rzeczą, że chwalić kobiety przy kobietach jest to rzucić ziarnko prochu w tlejące ognisko, — żartował, bawiąc się pomięszaniem córki.

Jania zagryzła wargi. — Z powodu p. Malskiej z pewnością wybuch by nie nastąpił ojcze! — odezwała się poważnie.—Nie przywiązuję, zresztę wielkiej wartości do urody; zbyt szybko przemija.

Nie patrząc na nikogo, podniosła się i do okna podeszła. Poczem rzekła:

— Jaka ulewa! Deszcz rozpadał się na dobre...

— Córki moje lękały się, abyś pan nie utonął w jeziorze...—zwrócił się Krasnohorski do młodego lekarza.—Widzę, że miały słuszność! Szkaradna mgła!

Dembiński uśmiechnął się rozpromieniony. Bezwiednie wzrok jego pobiegł ku Janinie. Gdyby mógł teraz spotkać się z jej spojrzeniem! Wnet atoli radość jego spłoszyła.

— Ja nie należę do lękliwych, ojczulku!—zawołała odwracając się szybko od okna. — To Amelcia drży zawsze o całą ludzkość...—dodała śmiejąc się.

— Przyznaj się, siostrzyczko! — broniła się zarumieniona Amelka.—Ty pierwsza zauważyłaś, że jezioro tak w mgły spowite, iż go nawet dojrzeć nie można...

— Bo przypomniałam sobie, że p. doktór lęka się wody...—rzekła z żartobliwą ironią.

Ton mowy i uśmiech podrażnił Dembińskiego.

— W każdym razie winienem paniom wdzięczność—ozwał się uprzejmie.—Więcej jeszcze niżeli przejażdżki po jeziorze, obawiałem się błotnej kąpieli, która mi nieochybnie groziła. Droga przez Zarzecze, tak piękna w dzień pogodny, dziś była niemożliwą do przebycia. Czy p. prezes nie uważa, o ile niżej stoi Zarzecze od innych wsi okolicznych? Co chwila niemal spotyka się dowody opieszałości i krańcowego lenistwa. Lud tutejszy nie zna wartości pracy...

Krasnohorski nie pozwolił mu skończyć.

— To naród zostający w niemowlęctwie! To dzicy!...—zawołał poruszony.

— Czyż można się dziwić temu ojcze?—zauważyła Amelka...—Któż im wskazał zbawienne skutki pracy, kto im powiedział, że ona jedynie daje prawo używania?

— Oczywiście!—odezwała się p. Helena.—Widzimy, że złe istnieje i że powinno być lepiej; ale nie badamy przyczyn i nie przyczyniamy się w niczem do poprawy takich opłakanych warunków. Cóż zrobił dla tutejszego ludu najpierwszy ich opiekun, dziedzic poprzedni Zarzecza?

— No, a cóż chciałaś, żeby zrobił? — spytał podrażniony p. Klemens.—Zastanów że się, Heleniu, że każdy z nas ma swój dział pracy, swoje osobiste zajęcia, stosunki, a tu od elementarnego wykształcenia zaczynać by trzeba. A czyż te ciemne massy pojmą, zrozumieją, czego się od nich wymaga? Czy wreszcie zostosują się do zapatrywań naszych? Oni mają swoją własną etykę: zabierz drugiemu co jego, a nie daj ruszyć swojego...

Hrabia się roześmiał.—Dość luźna etyka, ale prezes ma racyę—rzekł.

— Oni rozumieją jedno, jedno tylko uznają: jarzmo siły—mówił rozgorączkowany p. Klemens.—Myślę istotnie wiele zmienić w Zarzeczu z pomocą tego środka właśnie.

— P. prezes chyba dotąd nie mieszkał na wsi? spytał Dembiński. Ztąd wypływa, że wiele rzeczy widzi pan w fałszywem świetle.

Trzeba się zżyć z naszym ludem, aby go poznać. Zarzecze oddawna do upośledzonych należy i pocieszam się myślą, że teraz dopiero lepsze dlań nastaną czasy. Poprzedni właściciel przebywał zagranicą, chłopi ze strony dworu nie tylko ulg żadnych nie mieli, lecz wprost ucisk znosili od rządcy, ekonomów i t. p.

— Już oni sobie krzywdy zrobić nie pozwolą!—przerwał p. Klemens.

Dembiński potrząsnął głową.

— Jak kiedy, jak w jakim wypadku, szanowny panie!—podjął grzecznie.—Od lat kilku badam stosunki wiejskie, nie idealizując bynajmniej ni jednej, ni drugiej strony. Częstokroć pomoc moralna wpłynęłaby dodatnio, czasem materyalna, uchroniłaby takiego biedaka od występku. Ale w każdym razie dwór ze wsią sympatyzować powinien i wspierać się wspólnie. Wtedy tylko może być jakaś harmonia, ład, zobopólne zadowolenie i zobopólne korzyści.

— A jakże idzie gospodarstwo w sąsiadującej z cukrownią Zambrówce Górnej? — spytał ciekawie p. Klemens i przysunął się do Dembińskiego.

Młody lekarz zasępił się.

— To znów co innego!—rzekł po chwili.—I na losy Zambrówki patrzę dość dawno i z pewną niespokojną ciekawością. Tam istotnie wszystko się przeciw tej wdowie nieszczęśliwej sprzysięgło. Cała wieś z niej żyje. Od śmierci Orzelińskiego, wpadła w taki wir, chaos interesów, że doprawdy żal bierze patrzeć i myśleć o tem.

P. Klemens spojrzał porozumiewawczo na żonę.

— A co Heleniu? Nie mówiłem?—szepnął.

— Należałoby zajęć się nią, otoczyć opieką, pokrzepić radą!—rzekła ze współczuciem p. Helena.

— Zarzecze musi być podobne do Zambrówki Dolnej, gdzie jest cukrownia,—zawołała z pałającemi oczyma Amelka.—Gdyby tylko ojczulek pozwolił mnie i Jani tem się zająć... Jużeśmy ułożyły, gdzie stanie budynek szkolny. Weźmiemy jaką ubogą wdowę na ochmistrzynię, a same będziemy jej pomocnicami. Przynajmniej życie nasze będzie miało cel... urok...

Hrabia podjął różę, którą, rozmawiając, upuściła i podał Amelce.

— Urok życiu nadaje słodkie uczucie miłości...—szepnął gorąco.

Udała, że nie słyszy i rozrumieniona, przejęta wzruszeniem, spoglądała na Dembińskiego.

— Słyszałam ojczusiu, że p. doktór cudów dokazał w Zambrówce,—mówiła dalej. — Walenty opowiadał nam wszystko.

Jest to ulubiony temat gawęd naszych, gdy pływamy po jeziorze.

On zna Zambrówkę, jaką była i jaką jest obecnie. Poczciwy staruszek! Uwielbia p. doktora...

— I dla tego zyskał przydomek poczciwego?—wtrącił szyderczo hrabia.—Podziękujże Edwardzie!

Wszyscy się rozśmieli, Amelce rumieńce uderzyły na twarz.

— Jakie to słodkie, dobre dziewczę! — pomyślał, patrząc na nią z uczuciem Edward.

Wtem do pokoju wpadła pokojówka Józia i skinęła nieśmiało na Amelkę.

— Panieneczko! Gwiaździna umarła...—szepnęła.—Hanka z krzykiem po panienkę przybiegła.—Amelka wyszła.

Dembiński domyślił się odrazu, co się stało. Westchnął.

— Oto i jedna jeszcze ofiara ciemnoty — rzekł zniechęcony.—Biedna kobieta! Biedne dzieci!

Pani Helena pochyliła czoło. Nie chciała pokazać łez, które w jej oczach zabłysły. Pół-smutny, pół-ironiczny uśmiech pojawił się na twarzy Janiny.

— Nie pojmuję, dlaczego państwo przejmujecie się tak zwyczajnym faktem—rzekła obojętnie.—Skoro już tak jest i wiemy, że inaczej być nie może...

— Zostały dzieci, p. Janino!—ozwał się, patrząc na nią bystro Dembiński.

W obejściu młodej dziewczyny było coś, czego nie pojmował, a co go zagadkowością trwożyło.

— Pieszczoszka moja nie w humorze dzisiaj?—przemówił słodko p. Klemens i przysunął się, by pogładzić delikatny policzek córki. Ale Jania od pieszczoty ojcowskiej usunęła się szybko jakby niechętnie.

Tak przynajmniej zrozumiał to Dembiński.

Samowolna, chłodna natura, nie zdolna przywiązać się do nikogo... myślał potem, opuszczając ze smutkiem Zarzecze.

Janina smutna, niezadowolona z siebie, schroniła się do swego pokoju.

Tęsknym wzrokiem ścigając uwożący Dembińskiego powóz, pogrążyła się w zadumie.

Czuła trwogę nieokreśloną, jakby przed niebezpieczeństwem czegoś nieznanego, a przecież pociągającego; czuła, że coś wstrząsnęło nią do głębi, że budziły się w jej duszy tajemne pragnienia, nowe siły, które przeistaczały jej istnienie, od chwili, gdy po raz pierwszy poważne, głębokie spojrzenie Edwarda spoczęło na niej.

Jak bo on inaczej wyglądał niżeli ci salonowcy o wyłysiałych czołach i mizernych twarzach, których spotykała dotąd, lub owa młódź wiejska, rozprawiająca o wyścigach i swoich stajniach z takiem amatorstwem i znawstwem, jak gdyby po za tem, nie istniały żadne ważniejsze cele...

Edward Dembiński wyższością ducha i światłym umysłem zapanował nad nią i tej niezaprzeczonej nad innymi wyższości właśnie, poddać się musiała, chociaż charakter jej niepodległy, fantastyczny, pełen ognia i siły, mało był skłonnym do ustępstw w ogóle.

Gdybym pokochała kiedy, to wybrany mego serca musiałby być do Edwarda podobnym!—myślała teraz, stojąc u okna i przypominając sobie słowa i spojrzenia Dembińskiego. Ale czy on istotnie takim jest, jak się przedstawia? Czy może wierzyć, że jest lepszym, szlachetniejszym od ogółu znienawidzonych przez nią mężczyzn?

Janina kochała ojca z całą gwałtownością gorącej, ślepo ufającej miłości dziecka, które wyżej ponad wszystko uczucie to umieściło. Czyż mógł być kto doskonalszym nad niego? A przecież!

Wspomnienie z owego wieczoru w Krzemieniu, jawna niechęć jego do matki, tyle sprzecznych zdań i luźnych poglądów, wygłaszanych, głośno sprawiły, że ów ukochany ojciec zniszczył wiarę i ufność dziewczęcia.

I komu tu teraz wierzyć?

Gorzki, bolesny zawód! Pierwszy cień, jaki padł na jej młode życie, cień posępny druzgocący złudzenia i wierzenia czystej niewinnej duszy.

Ach! jak ona cierpiała! Zamknęła, zasklepiła się w boleści swojej i od wizyty owej w Krzemieniu, Amelce nawet nie powierzała swoich myśli i spostrzeżeń!

Czy ona może, czy powinna komu zaufać, kiedy to wszystko pozory!

Nie! stanowczo niema na świecie dobrych, szlachetnych mężczyzn i kobieta, oddając mu życie całe, z góry powinna być przygotowaną, że mąż będzie ją zdradzał, oszukiwał, tyranizował.

Janina czuła, że raz zawiedziona, nie potrafiłaby przebaczyć, ani zapomnieć.

Nie należę do cichych, biernych istot i nie umiem kochać spokojnie i z zaparciem się siebie, z pobłażaniem dla słabych, chwiejnych natur męzkich!—zadecydowała i ten wzgląd przeważył na szali chłodnych rozumowań i pragnień serca.

Z bólem, niechęcią i goryczą do ludzi, odwróciła się od okna i koronkowy szal z pośpiechem zarzuciła na głowę. Uczuła naraz potrzebę ruchu, pracy, któraby ją od myśli własnych broniła.

W pół godziny potem znalazła się przy boku siostry, w chacie Gwiaździny.

Amelka była ogromnie zajęta, wzruszona.

Gwiazda, chcąc żal po nieboszczce ukoić, wybrał się do karczmy, zkąd go dopiero na rozkaz Amelki Szczepanicha wyciągnęła.

Zdążył jednak upić się porządnie i na wszelkie pytania co do pogrzebu, odpowiadał jeno głośnym lamentem i łzami.

Wygodnie mu z tem było; Amelka o wszystkiem myślała.

Gdy do izby weszła Janina, pierwszem uczuciem jakiego doznała, był wstręt nieopisany. Jaki nieporządek, hałas, jak tę chwilę, uroczystej grozy pełną, ludzie ci przyjmowali obojętnie, lekceważąco!

Obok trupa, rozciągniętego na łóżku, siedziała kilkoletnia dziewczynka i drzemała. Spłakane dziecko, do martwej piersi matczynej przytulone, zasnęło, i nie pomogły, perswazye poczciwej Matyski, która ją ztamtąd wyrugować chciała.

Ale teraz potrzeba było ubrać nieboszczkę. Szczepanicha, rej wodząc między wszystkiemi, przysunęła się do łóżka.

— No śpiochu! wstawaj! — wołała gniewnie i z bezwzględną obojętnością targnęła ramię dziecka.—Już się nie będziesz przy matce wylegiwała.

Zbudzone, otworzyło oczy i cicho załkało. Łkanie to sieroce odbiło się w sercu Janiny. Pokonała wstręt i zbliżyła się do łóżka.

— Pójdź do mnie, maleńka!—prosiła, wyciągając ku dziewczynce ramiona.

Zwabiona urokiem słodkiego głosu i pięknej twarzy, Marysia pozwoliła nakoniec oderwać się od matki i zabrudzonemi rączkami objęła szyję wytwornej, eleganckiej panny.

Amelka z uczuciem radości przyglądała się siostrze.—Jak to maleństwo garnie się do ciebie! — szepnęła.

Wieśniaczki patrzyły — kręcąc głowami.

— Uczciwe dusze jakieś!—mruczała Matyska.—Jak się to robaka takiego nie brzydzi podjąć.

A Szczepanicha głową kręciła z podziwem.—Powiadam wam, coś dziwnego!—opowiadała kumoszkom. Jasna panienka nie targowała się ani ździebeńka. Co ino Gwiazda rzekną: a to na światło tyla, a na pochowek tyla, albo i na gorzałkę dla ludzi, to ino zapisze, głową kiwnie i mówi: „dobrze.“ Śliczny pochowek Gwiaździna będzie miała. Nie żal umierać!

— Od tego pany i na to pieniędzy mają jak lodu, żeby chłopu biednemu pomódz,—ozwał się stolarz.—Czemu się tu dziwować?

— Juści!—oburzyła się Matyska.—Byłby tamten dziedzic dał komu choćby grosik marny, co? Ostatnią koszulę by zdjął z chudziaka. P. Kędzierski zapomniał, jak, to u nas bywało?

Ludzi tymczasem napływało do chaty coraz więcej. Wchodzili, głupowate bezmyślne spojrzenie zatrzymywali na pięknych pannach z pałacu, pokiwali głową nad umarłą i po krótkiej modlitwie, Kurzelina wypychała ich do sionki, bo trzeba przecie było, koło nieboszczki porządek uczynić. Cóż, kiedy za nic ubrać się nie pozwoliła, dowodziły kobiety; dotąd trzewików nawet włożyć jej nie można było.

Kurzelina tedy wzięła ten przykry obowiązek na siebie. Z powagą pochyliła się nad nieboszczką. Milczenie zaległo izbę.

— Maryjanno! pozwól się ubrać na drogę wieczności—przemówiła dobitnie i poruszyła ręką umarłej.

Wieśniaczki w trwożnem oczekiwaniu zbiły się w gromadkę koło łóżka.

Janina z Amelką patrzyły na siebie zdumione.

— Maryanno, pozwól się ubrać na drogę wieczności,—powtórzyła głośniej jeszcze Kurzelina.

— Matula nogą ruszyli!—zawrzasła trzynastoletnia Hanusia i w płacz uderzyła.

— Juści prawda!—przyświadczyła Kurzelina.— Ale co nie chce trzewika obuć, to nie!

— Musi stare kładziecie! — ozwała się Szczepanicha.

— A zkądże bym nowych wzięła?

W izbie powstał lament nieopisany. Maryanna, która porządek za życia lubiła, w starem obówiu i wytartej spodniczynie odejść w krainę wieczności nie chciała,

Amelka położyła koniec tej scenie.

— Przyślę co będzie potrzeba! — odezwała się, pociągając do wyjścia Janinę.

Zmęczone, oburzone opuściły izbę, zabrawszy z sobą małą Marcysię. Starsze dzieci zostawały przy matce i dopiero na obiad miała je pokojówka Józia zaprowadzić do czeladnej.

Gdy panny wyszły, powstał gwar.

— Widzita, jakie to!—krzyczała Kurzelina, wygrażając pięścią.—Żeby się nieboszczka nie przymówiła sama, toby jej nawet bucisków nie dały! Jaśnie panie! Patrzajta! a jakie to spódnice mają falbaniaste, jakie złote obręcze w uszach, pierścianki! A któż to na nich pracuje? Juści chłop! Bójcie się Boga ludzie, że to sprawiedliwości Bozkiej na świecie niema!

— Dalibyście spokój!— próbowała bronić Matyska.—Toć i dzieciaka wzięły i odziewek przysłać obiecały, a starsza panna Gwiaździe na pochowek pieniądze dała.

Zakrzyczano ją.

Gwiazda podpiły dowodził najgłośniej.

— Co mi dała? — Krzyczał. — Na garniec wódki?—Co? Garncem ludzisków nie obdzielę!

— Samam słyszała, jakeście sześć garncy okowitki podali,—wtrąciła Szczepanicha.—Ino ludziom oczy chcecie mydlić, bo cóżbyście sami pili!

Pokłócili się w najlepsze. Z łóżka niedomkniętemi oczyma patrzyła na nich nieboszczka.

Młode panny powróciły do domu pod wrażeniem bardzo przykrych uczuć.

Przed ich oczyma otwierał się świat nowy, świat brudnych żądz, nędzy materyalnej i moralnej; wytworne ich natury przejmował nieledwie wstrętem. Janina szczególniej nie mogła opanować wzburzenia.

— To okropne, Amelko, to brzydkie, nizkie!— powtarzała z uporem.

— To smutne, Janiu!—poprawiała ją łagodnie siostra.—Czy zechcesz pójść ze mną zaraz do ojczulka? Chwila jest odpowiednią, bo to, na co patrzyłyśmy, doda nam odwagi. Trzeba raz nareszcie coś przedsięwziąć i kwestyę jasno postawić. Czas upływa, lato zbiegnie szybko, odjedziemy na zimę do Warszawy i we wsi pozostanie wszystko, jak było!

— Ja nie pójdę!—ozwała się Janina.—Rozstroiła mnie ta wycieczka między chłopów. Radzę ci Amelko zacząć swoją filantropijną dzia-łalność od posłania na wieś kilkudziesięciu centnarów mydła. Nie pojmuję, jak ci ludzie mogą oddychać takiem powietrzem i brudem. Brrr! Poczucie nieporządku mają już widać wrodzone. Żałuję, żeśmy tam poszły!

Amelka uśmiechnęła się pobłażliwie.

— A któż byłby ukoił smutek małej Marcysi?— spytała patrząc czule na siostrę. — Wyglądałaś jak Madonna z tem rozpłakanem dzieciątkiem w objęciu. Dobra moja Jania, bardzo dobra!

Uśmiech rozpogodził piękną twarzyczkę Janiny.

— Mała ma prześliczne oczy!—rzekła, jakby się usprawiedliwiając z popędu tkliwego serca.—Czy przypuszczasz, Amelciu, że ojciec zgodzi się, abym ją wychowała? Nauczę ją szyć, haftować: może potem zająć miejsce Józi?

— Śliczna myśl!—odparła Amelka. Poproś ojczulka, nie zwlekając.

W oczach Janiny błysnął ponury ogień.

— Ja? Nigdy!

Ostry ton głosu zwrócił uwagę Amelki.

Już od pewnego czasu dostrzegała zmianę w postępowaniu Janiny. Nie biegła jak dawniej z pieszczotą do ojca, natomiast podwójnie pieściła matkę. Więc zapytała ją wprost:

— Powiedz mi, Janiu, co to znaczy? Miałaś zawsze więcej jeszcze śmiałości do ojca, niżeli ja... Teraz uważam, że od niego stronisz i tak ozięble się zachowujesz? Już i ojczuś pytał mnie co ci polega?

Rozśmiała się nerwowo.

— Nic! — szepnęła.—Dziecko nabrało doświadczenia, jak nabędzie z czasem i filozofii życia. Nie będzie wierzyć i nikomu ufać. Zważ, kochanie, że skończyłam lat ośmnaście i wstyd byłoby łudzić się mrzonkami.

— Nie rozumiem cię, Janiu!

— To i dobrze!—odparła lekceważąco.—Nie życzę ci nawet, abyś doszła do tych, co ja rezultatów. Nie wesołe!

Uderzyła niecierpliwie nogą o dywan.

— Po co mnie wyciągasz na słowa, Amelciu?— wybuchnęła.—Nie chcę myśleć, ani zastanawiać się nad niczem. Świat ten pięknym jest z pozoru tylko..,

— Janiu, moja droga!

— Tak jest, nie inaczej! Próżnobyś próbowała perswadować mi. Byłby rajem, gdyby nie było mężczyzn, mówiła dalej rozgorączkowana. Oni to w życie nasze wprowadzają niepokój, chaos bezładnych pojęć, brak ufności w siły własne, gorycz, zwątpienie!

— Jest to wadą twoją Janiu, że zwykle sądzisz rzecz każdą szybko i jednostronnie,—ozwała się łagodnie Amelka.—Po długich latach doświadczenia i gruntownej znajomości życia, można by dopiero taki bezwzględny wyrok wydać. Chociaż i wówczas nawet, zważywszy o ile człowiek jest omylnym i o ile cnota pobłażania potrzebną jest każdemu...

— Nie wysilaj się kochanko!—przerwała z ironią Janina.—Trud zbyteczny! Wzięłam zaraz na wstępie tak dobrą lekcyę, że już uczyć się nie potrzebuję. Ale poco my o tem mówimy? Ty patrzysz na mnie ze zgrozą, a ja na ciebie z litością, że się jeszcze łudzisz!

Odeszła do okna.

Po deszczu wypogodziło się ślicznie, powietrze było orzeźwiające, klarowne; zieleń drzew i krzewów, jakby majowa, tchnęła świeżością niepokalaną. Kielichy białych lilij strzelały w górę, róże delikatną, słodką woń wydzielały z pękających pod ciepłym promieniem słońca pąków, jezioro gładkie było i czyste.

Janina z rozkoszą wchłaniała w siebie i subtelną woń kwiatów i chłodny ostry nieco powiew od wody płynący i przedziwną świeżość dnia letniego.

— Dotąd jestem przynajmniej w zgodzie z przyrodą!—rzekła po chwili, obejmując okiem wspaniale piękny krajobraz.—Cudnym jest ten świat zewnętrzny!

— I wewnętrzny, kochanie, pięknym jest niewątpliwie—odparła, tuląc ją, Amelka.

— Tak, gdy zamiast słońca gwiazd i księżyca świeci prawda!—szepnęła rozżalona dziewczyna.

I stało się, że jednocześnie wzrok jednej i drugiej zatrzymał się na białym dworku za jeziorem.

Amelce zabiło serce wzruszeniem. Wydało jej się, że tam, pod tym skromnym dachem gości anioł spokoju i prawdy, ztamtąd płynie szczęście, pożytek, błogosławieństwo.

Wyobraźnia przedstawiła jej schludny, miły pokoik o bielonych ścianach i bluszczem oplecionych oknach, siwowłosą staruszkę w bieluchnym czepku, pochyloną nad robotą i poważną, piękną twarz mężczyzny.

Bezwiednie, nie zdając sobie sprawy z tego, co czyni, wyciągnęła w stronę Zambrówki rękę.—Niechaj cię przykład pokrzepi, siostrzyczko, jeśli wiara twoja słabnie!—szepnęła słodko wzruszona.

Ale Jania odsunęła się od niej gwałtownie.

Wybuch szyderczego śmiechu był jedyną jej odpowiedzią.

— Niech mi ojczulek wierzy,—mówiła wkrótce potem Amelka do p. Klemensa, słuchającego córki z widoczną niechęcią—że jakiekolwiek zajęcie wpłynie bardzo korzystnie na Janię. Na pensyi przyzwyczajone byłyśmy do systematycznej pracy; godzina w dniu nie była zmarnowana. Jania od natury hojnie jest obdarowaną, zdolności ma niepospolite charakter szlachetny; ale jest przytem żywa i nieumiarkowana. Działa zawsze pod wrażeniem chwili, gorączkuje się byle czem i wytworzyła sobie w umyśle jakiś abstrakcyjny światek. Czy ojczulek tego nie zauważył? Żeby ta szlachetna, ale samoistna natura nabrała równowagi, potrzeba ten umysł niespokojny czemś zająć.

— Co za modne fanaberye!—zżymał się p. Klemens.—Tyle panien na świecie wychowało się i wychowuje bez wynajdowania sztucznych zajęć, obowiązków społecznych i Bóg wie, czego tam jeszcze nie wymyślicie! Wiesz o tem dobrze, że w zasadzie przeciwny jestem wszelkim nowym systematom, które uroiło wam się gwoli polepszeniu i umoralnieniu ludzkości podejmować. Skoro mówisz, że Janię trzeba czemś zająć, wyjedźcie zagranicę. Chętnie się na to zgodzę!

Amelka ucałowała ręce ojca.

— Jesteś najlepszym z ojców, tateczku, ale to nie byłoby lekarstwem—odezwała się z uczuciem.— Mamie zresztą wyjazd sprawiłby przykrość.

P. Klemens był już na dobre zniecierpliwiony.

— Więc czegoż nareszcie chcecie?—pytał ze zdumieniem, przyglądając się córce.—Ileż panien dziękowałoby Bogu za wszystko, co wy macie? Ba!... czułyby się najszczęśliwszemi!

— I my z pewnością nazwiemy się szczęśliwemi, jeśli drogi ojczulek zrobi dla nas małe ustępstwa!— odparła odważnie Amelka. — Co naprzykład zrobić mamy z pieniędzmi, które nam ojczulek na fatałaszki daje?

— Załóżcie kasę oszczędności,—mruknął zirytowany p. Klemens.

— Kapitał nasz musi procentować ojczulku— uśmiechnęła się Amelka.—Jeśli tatko zezwoli, ulokujemy na bardzo korzystnych warunkach swoje oszczędności!...

I powoli, ale ze zrozumieniem przedmiotu, nad którym, dużo widać myślała, zaczęła opowiadać ojcu, jakie plany powzięła co do umoralnienia zaniedbanego Zarzecza i jakich w przyszłości spodziewa się rezultatów. Mówiła treściwie, a gorąco. Wykazała cyframi, ile będzie kosztowało wybudowanie szkoły, ile utrzymanie nauczycielki. Z czasem oczywiście ten ostatni wydatek wieś podejmie, a dwór cząstkę tam jakąś dołoży, ale trzeba, aby ktoś zaczął, położył pierwszy kamień węgielny, bo chłop jest na to za leniwy.

— Moja Amelciu, zkąd się ty znasz tak dokładnie na rachunkach i interesach w ogóle?—spytał p. Klemens, gdy skończyła.

— Czyż to co trudnego, albo zadziwiającego ojczulku?—P. Dembiński zwrócił uwagę moję na różnicę moralną ludności Zambrowskiej i Zarzecza, udzielił kilku wskazówek...

— A panienka słuchała rada, bo p. doktór umie pięknie mówić... — przerwał, śmiejąc się, p. Klemens.—No, tak to co innego! Nie omieszkam mu podziękować! Amelka na piersi ojca ukryła spłonioną twarz i promienne szczęściem oczy.

I czy istotnie wymowa jej przekonała p. Klemensa, czy inne jakie wpływy, dość że warunkowo przychylił się do żądania córki.

— Byleście mi tylko dużo o tem nie rozprawiały i obeszły się bez mojego współudziału—rzekł na zakończenie.—A chłopów proszę nie demoralizować datkami, bo to do niczego dobrego nie doprowadzi. Pewny jestem, że wam się to wszystko wkrótce uprzykrzy; dla tego nie zabraniam!

Pocałował córkę i uśmiechnął się filuternie pod wąsem.

Oczywiście Dembiński podoba się Amelce, Amelka Dembińskiemu—myślał.

W obec tego, piękny, oryginalny lekarz przestał być niebezpiecznym nawet dla takiej wrażeń chciwej i zalotnej kobiety, jak p. Malska.

(Dalszy ciąg nastąpi).

Z WŁOCH

Kolonię naszą w Rzymie spotkała w tych dniach rzecz bardzo przykra i smutna. Tłum biednych wychodców z Galicyi, obałamuconych nikczemnie przez agentów statków przewozowych, zebrał się w Genui pod domem konsulatu austryackiego, żądając aby im dano najpierw schronienie jakie i kawałek chleba, następnie środki dostania się bezpłatnie do Brazylii, gdzie biedacy dążyli jak do Ziemi obiecanej. Gdy wieść ta doszła nas przez gazety zebraliśmy się na naradę, co robić? Trzech z po-

śród nas udało się co prędzej na miejsce tej tragedyi bolesnej i zwróciwszy się następnie do konsula austryackiego żądaliśmy, aby odesłać biedaków do domu kosztem nikczemnego handlarza towarem ludzkim, który zbiera z tego zyski takie, że przystał bezspornie na opłacenie im przewozu na miejsce, a dodać należy, że chodziło tu o 206 osób.

Zanim to dokonanem być mogło przyszło nam z pomocą Stowarzyszenie, zajmujące się ludem pracującym pod nazwą „Sekretaryat ludowy,“ którego celem jest wspomagać robotników i w ogóle wszystkich, potrzebujących tego biedaków, a to nietylko chlebem i kątem przytułku, lecz i pomocą moralną. Każdy kto się tu zgłosi w kłopotliwej trosce jakiejś, przyjętym zostaje jak brat przez braci, a urzędnik specyalnie przeznaczony do tego, wysłuchawszy biedaka daje mu nietylko dobrą radę, co czynić mu należy, ale pisze mu listy do osób prywatnych, lub podania do władz rządowych. Ułatwionem mu też zostaje odbieranie zaległych zarobków, odbieranie spadków, a opieka ta rozszerza się nawet do układu życia domowego, do wychowania dzieci i stosunków pożycia między małżonkami. Biura sekretaryatu pełnić mają to wszystko bezpłatnie, a urzędnicy od najwyższych do najniższych nie pobierają pensyi żadnej. Należą tu lekarze, adwokaci, notaryusze i można powiedzieć, że nigdy dzieło żadne dobroczynności ludzkiej, lepiej, praktyczniej nie działało.

Należą tu i kapłani, zwłaszcza plebani wiejscy. Ojciec Święty zezwolił na łączenie się ich z tą instytucyą i w czasie przyjmowania życzeń noworocznych wypowiedział to w słowach bardzo szlachetnych, że nie może tam być miłości Boga gdzie nie ma miłości bliźniego. Odbyło się to zebranie w d. 16 stycznia; dawniej każda z rodzin arystokratycznych przysyłała tu swego przedstawiciela, Leon XIII zażądał aby się to odbywało zbiorowo w terminie, który oznaczył i rzecz przybrała charakter wielce uroczysty. Dziedziniec Ś-go Damazego napełnił się powozami i służbą w bogatej liberyi niemal wszystkich starożytnych rodów włoskich, które nigdy nie opuszczają sposobności wykazania czci swojej Ojcu Świętemu, wdzięcznie to odczuwającemu. W ogóle rzecz biorąc wszystkie warstwy społeczeństwa włoskiego są z małemi wyjątkami wierzące, uroczystości religijne odbywają się też ze czcią należytą i właśnie w tym czasie miało to miejsce w Neapolu. Crispi został w tych czasach dziadkiem, córka jego, księżna Linguaglosao, obdarzyła go pierwszym wnukiem i chrzciny odbyły się ze wspaniałą uroczystością. Obrządku tego dokonał kardynał Sanfelice da Ragnoto w kościele Wniebowzięcia, który na tę uroczystość wybity został całkowicie białym i błękitnym aksamitem, a dowód to jest, że obrządki religijne otoczone są tutaj tak jak niegdyś wspaniałą uroczystością, wykazującą, że ludzie przywiązują do nich wagę odpowiednią.

Korzysta z tego sztuka, bo w starożytnych świątyniach rzymskich i włoskich w ogóle, mieszczą się zapomniane skarby, które obecnie są odszukiwane starannie i odnawiane odpowiednio do ich stylu, przecież niemało ich zaginęło, jak wykazują stare spisy inwentarzy kościelnych, wywiezione za granice kraju, czego dowodem jest odnalezienie właśnie w tym czasie obrazu Tyciana. Przedstawia on rudowłosą kobietę w postawie leżącej, ale był on tak przez działanie czasu zmieniony, że trudno się było dopatrzeć jego piękności, jego zarysów nawet. Kupiony od antykwaryusza za niewielką cenę 50 franków nie jako dzieło sztuki, ale zabytek archeologiczny, przesłany został do Paryża do odnowienia i tu dopiero dopatrzono się jego wielkiej wartości. Przedstawia on Wenus w postawie leżącej z Amorem obok i po odświeżeniu go Amor uderzył znawców podobieństwem do znajdujących się w Wenecyi postaci aniołów i doszukano się historyi szacownego dzieła sztuki średniowiecznej. Samo odnowienie obrazu kosztowało 1,700 franków i właściciel ocenił go obecnie na pół miliona franków, gdyby przecież chciał go ktoś nabyć do jakiejś galeryi szwajcarskiej, cena została by obniżoną nieco. Ale wróci on niewątpliwie do ojczyzny jego twórcy, bo Włochy namiętnie tego żądają i jeżeli nie włoski magnat który, to nabędzie go niewątpliwie rząd dla muzeum rzymskiego.

Z oświatą, która rozszerza się obecnie we wszystkich warstwach ludności włoskiej, dadzą się zapewne odszukać i inne arcydzieła przeszłości, ale rzeczy takie nie odrazu dają się dokonywać a ciemnota panuje tu jeszcze taka, jakiej trudno już znaleść w krajach innych. Dramaturg włoski, Carlo Bartolazzi, ozwał się za pośrednictwem jednej z gazet medyolańskich, że teatra włoskie nie wyrównają nigdy sztuce dramatycznej innych krajów, jeżeli poziom umysłowego wykształcenia grających tu artystów nie zostanie podniesionym. Tygodnik medyolański La Sara, poświęcony sztuce przedstawił niedawno czytelnikom swojem przykłady takiej w kołach tych ciemnoty, że powstał hałas wśród publiczności, żądającej aby sztuka włoska we wszystkich swych kierunkach dorównywała w inteligencyi artystom innych krajów. Przykłady jakie stawiał, zadziwiać mogą, ale skutek to tych lat ubiegłych, które nie dały Włochom rozniecić pochodni oświaty.

Niemniej serca umieją tu bić gorąco i każdy kto uczestniczył w uroczystości odsłonięcia pomnika Garibaldego powtórzy to za mną. Nieprzeliczone tłumy ludu ze wszelkich okolic Włoch, przeszło 100,000 osób zebrało się zjednoczonych uczuciem miłości i szacunku dla szlachetnego rycerza, który zdobył sobie zarówno cześć i miłość wszystkich synów Italii. Żaden opis nie jest zdolny oddać wrażenia jakie to wywierało na wielkich i maluczkich tego narodu; tłum garibaldczyków w historycznych koszulach czerwonych uszykował się dumnie na stopniach pomnika, który otaczała ze wszech stron zieloność gałęzi laurowych, król Humbert i królowa Małgorzata ledwo dostać się mogli do przeznaczonego dla nich pawilonu, a fanfary trąb ozwały się wtedy rozgłośnie, z pomnika opadła kryjąca go zasłona szkarłatna i zastęp garibaldczyków z tych pułków, które w dniu 20 września 1870 r., wkroczyły do Rzymu, podniósł wysoko w górę sztandary.

Innego rodzaju, ale bardzo też wspaniałą była uroczystość noworocznego przyjęcia w Watykanie arystokratycznych rodzin włoskich, a dodać trzeba, że stało się to raz pierwszy od 1870 r., to jest od czasu zajęcia Rzymu przez wojska włoskie, gdy pewne koła klerykalne wymogły na Piusie IX, którego serce biło gorąco dla sprawy Włoch, aby jako więzień w Watykanie usunął tę wspaniałą uroczystość, wykazującą cześć włoskiego patryatu dla stolicy apostolskiej. Czas złagodził przecież ten smutny zatarg; przekonano się dowodnie, że władza świecka może bez ujmy dla władzy duchownej mieścić się w Rzymie i pokolenie, które wyrosło pod nowym rzeczy układem, zapragnęło przywrócić ten akt widoczny czci oddawanej Papieżowi, jako głowie kościoła. Książe Marek Antoniusz Colonna stał się tu czynnikiem głównym i rzecz wzięła obrót szczęśliwy, a była to nietylko dla ludności Rzymu ale i dla Włoch całych chwila wysokiego znaczenia, bo usunął się zatarg bolesny rozdzielający naród włoski na dwie połowy.

Leon XIII otoczony całym dworem swoim, a poprzedzony gronem kardynałów, wniesiony został porankiem Nowego roku na przenośnym tronie swoim do sali konsystorza nie zbyt wielkiej ale wspaniałej jak wszystkie komnaty Watykanu i przypuścił przytomnych do ucałowania ręki, na której mieści się sygnet będący oznaką godności papiezkiej. Akt to jest uświęcony od wieków i noszący charakter patryarchalny, przecież czas jakiś zaniedbany i dopiero w tym roku wznowiony. Leon XIII jest z kolei, poczynając od czasów Ś-go Piotra, dwieście sześćdziesiątym papieżem, komitet kolegium kardynalskiego składa się obecnie z 63 członków, a najstarszy wiekiem jest kardynał Martel, liczący lat dziewięćdziesiąt, kardynał Kanossa ma lat osiemdziesiąt siedem, Ojciec Święty skończy też wkrótce lat tyle i bardzo też poważnie uroczystym jest dla oka taki zbiór sędziwych mężów, służących ludzkości u ołtarzy Boga.

Świątynie rzymskie, najstarsze na świecie domy boże, są też najwspaniałej uroczyste dla oka i przejmują każdego, kto wstąpi do ich wnętrza, jakąś grozą pobożną, a mieści się w nich tyle wzniosłych dzieł sztuki chrześcijańskiej, jakich nie da się znaleść nigdzie we wszystkich muzeach świata, wziętych razem. Pomniki wielkich mężów przeszłości wywierają też na zwiedzających wrażenie silne i być w Rzymie, zwłaszcza gdy się umie patrzeć, to wynieść można wrażenie nigdy nie zapomniane i dobrze też poradził sobie nasz artysta, Teodor Rygier, że pragnąc wywołać z głębi ducha swego wzniosłe siły twórcze, odpowiednie dla wzniesienia pomnika Mickiewiczowi, przybył do Rzymu, aby się upoić tem wysokiem pięknem sztuki, z którem tu spotkać się można przeważnie. Pierwsze jego dzieło, wykonane w Krakowie, stoi tam jeszcze na rynku zabite deskami, a on zamknięty w pracowni swojej na Via Flaminia tworzy w gipsie model nowego pomnika, a przypuścić trzeba, że przy oddziaływaniu tutejszych wielkich wzorów wzniosłej sztuki wielu wieków nagromadzonych w około, natchnienie zstąpi na niego. A zamieszkał on na cichej ulicy starego Rzymu, na Via Flaminia, gdzie pracuje ze szlachetnem przejęciem się ważnością dzieła, które mu powierzonem zostało.

Model, gdy skończonym zostanie, wysłanym będzie do Krakowa dla ocenienia go przez komitet budowy pomnika, a przypuszczać można, że otrzyma uznanie, a ja zarazem prześlę wam opinią tutejszych artystów, zajętych szczerze tą sprawą, bo Mickiewicz jest i tu znany jako wielki poeta, wielkiego ducha człowiek, więc rzecz zainteresowała zwłaszcza sfery artystyczne. Włochy w ogóle żądają od wszelkiego rodzaju artystów wyższego wykształcenia i Carlo Bartolazzi, dramaturg, ozwał się właśnie w medyolańskim czasopismie La Sera, że artysta nieoświecony wszechstronnie nie może być nigdy prawdziwie wielkim i wzniosłym. W przyszłym liście moim do was podam wam w przekładzie to szlachetne rozumowanie, podnoszące wzniośle sztukę i sztukmistrzów.

August

Balonem na biegun północny.

Każdy doznaje uczucia zadowolenia, skoro pomyśli o podróży balonem, który płynie lekko po powietrzu i dostarcza wrażeń bardzo silnych; zadowolenie to wzrasta jeszcze, kiedy marzymy o podróży balonem, het, aż do bieguna północnego, zaciekawiającego ludzkość od wieków a niezbadanego do ostatnich czasów. Coby to była za rozkosz prawdziwa ujrzeć wreszcie te krańce kuli ziemskiej! Dreszcz przejmuje na samą myśl o tem, coby tam mogło ludzkim przedstawiać się oczom, gdyby balon dotarł do tego punktu, gdzie jest początek osi ziemi!...

Bohaterowie nauki nie ustają też w usiłowaniach wyrwania naturze owej tajemnicy i poświęcają życie, narażając się na śmierć bardzo prawdopodobną i zewsząd grożącą, byle choć o krok posunąć naprzód wiadomości, dotyczące tych zamarzniętych mórz dalekiej północy. Niebezpieczny to los wszystkich, co nadpowietrznym okrętem pragną przelecieć po nad górami lodowemi, jakie pilnują wejścia do nieznanej krainy! Ale zapał do wiedzy, idealizm szlachetny i porywający pociąga tych ludzi nie bacznych na własne bezpieczeństwo.

Świeżo powstał nowy plan podróży balonem do bieguna północnego. Myśl tę powziął inżynier szwedzki, Andrée, człowiek nieustraszony i pełen niewyczerpanej energii. Wytrwale, z namiętnością uczonego i podróżnika, przygotowywa się on do tej drogi, wierząc niezachwianie w to, iż mu się uda osiągnąć cel przedsięwzięty; wiarę tę i ufność jego podzielają również towarzysze wycieczki. Andrée jest przekonany, że zbadać biegun północny będzie można dopiero za pomocą balonu.

W człowieku tym kojarzą się harmonijnie wszystkie nieodzowne przymioty, do uskutecznienia takiego zamiaru potrzebne. P. Andrée jest nietylko spokojnym i trzeźwym myślicielem, silnie przytem i muskularnie zbudowanym,—ale nadto posiada on wysokie ukształcenie techniczne i doświadczenie podróżnika, który już raz, w latach 1882—1883, wziął udział w wyprawie szwedzkiej do bieguna północnego i otrzaskał się z różnemi niebezpieczeństwy. Nauka jego i znajomość rzeczy budzą zaufanie do tego przedsięwzięcia; materyalne poparcie znajduje Andrée na każdym kroku, nawet król Oskar troskliwie opiekuje się projektowaną wyprawą i dokłada starań, żeby ją zaopatrzyć we wszystko, czego potrzeba. Andrée, jak i jego towarzysze: meteorolog Nils Eckholm i kapitan Palanger,

puszczają się na tę wyprawę dobrowolnie, nie zniechęcając się najróżniejszemi niebezpieczeństwami, które im grożą, i przed niczem się nie cofając.

Plan wyprawy tak się przedstawia. Balon, posiadający 20—22 metrów średnicy i blisko 6,000 metrów sześciennych objętości, będzie na północy wyspy Spitzberg napełniony gazem, który się pomieści przedtem w 1,800 cylindrach metalowych. Celem ochrony od wichru zostanie zbudowana szalupa, na której balon dotąd przyczepiony będzie, dopóki pomyślny wiatr i stan powietrza nie umożliwią jazdy. Podróż obliczona została na dni 30, żywności starczy na cztery miesiące. Przybory naukowe składają się z instrumentów do mierzenia czasu, położenia geograficznego i szybkości jazdy; znajdować się tam będą także instrumenty do obserwacyi meteorologicznych, wreszcie zabrany zostanie aparat fotograficzny.

Zaopatrzenie wyprawy pod względem technicznym zasługuje na bliższą uwagę, tak jest bowiem doskonałe to, co Andrée w tej mierze obmyślił. W wyższych warstwach powietrza, wskutek mniejszego ciśnienia atmosfery, gaz, znajdujący się w balonie, grozi powierzchni tegoż, narażonej na pęknięcie. Taki koniec spotyka nieraz okręty powietrzne, które spadając na ziemię, niosą jednocześnie śmierć odważnym podróżnikom.

Oczywiście, podczas zamierzonej wyprawy użyte będą wszystkie środki ratunku, jeżeliby balon spadać zaczął. Łódka, czyli kosz, będzie urządzona w ten sposób, aby w niej można było płynąć i mieszkać jak w chacie; oprócz tego znajdować się w niej będzie broń i amunicya.

W każdem przedsięwzięciu wiadomy być musi jasny i wyraźny cel jego; należy również korzystać ze wszystkich doświadczeń na tem polu osiągniętych. W niniejszym wypadku mamy do czynienia z problematem naukowej geografii, streszczającym się w pytaniu: jaki jest stosunek ziemi do wody na biegunie? czy jest tam morze biegunowe, którego istnienia dowodzą teorye barona Plana i porucznika Greely? czy też morza biegunowego nie ma wcale? Nie ulega wątpliwości, że wszystkie powyższe kwestye mogą być rozstrzygnięte dobrze przy pomocy balonu i że uda się może prędzej wykonać zdjęcie fotograficzne bez przeszkody z podbiegunowych okolic. Z wysokości 200 do 300 metrów po nad poziomem morza łatwiej będzie uskutecznić to zdjęcie lub naszkicować nasuwające się widoki, gdyby fotograficzny aparat nie był wstanie uwięzić tych wizerunków na swojej kliszy.

Może się zdarzyć, iż zapanuje tam mgła gęsta, która nie pozwoli posuwać się dalej naprzód lub nie da możności obserwowania owych miejsc, ale wlokąca się u dołu lina wskaże, czy balon znajduje się po nad wodą, lodem czy śniegiem. Podczas mgły bywa zwykle cisza w powietrzu, i balon może w jednym punkcie długo się zatrzymać, podróżni zaś muszą wtedy czekać cierpliwie, aż ruszą dalej.

Najkrótsza droga do bieguna północnego wynosi 3,700 kilometrów, co równa się prawie odległości Paryża od Jekaterynburga na Uralu. Przyjąwszy średnią szybkość jazdy 4.9 metr. na sekundę, inżynier Andrée przypuszcza, iż w ciągu 6 dni i nocy przebędzie tę przestrzeń. Prawdopodobnie jednak zostanie on wiatrami szybciej jeszcze przeniesiony na brzegi azyatyckie lub północno-amerykańskiego archipelagu. Tu otwiera się wskutek tego prawdziwa szansa dotarcia do bieguna, który leży właśnie po drodze. Możliwe jest nawet, że balon dojdzie do bieguna w 24 godziny, jeżeli zdoła przebiedz 13 do 14 metr. na sekundę.

Najnowszy rozwój techniki balonowej w Niemczech każe się spodziewać, że materyał użyty na budowę balonu wytrzymać zdoła wszystkie zmiany atmosferyczne na północy.

Wydzielanie się gazu przez powłokę balonu będzie zmniejszone do *minimum*, dzięki doborowi odpowiedniego materyału. Dotychczasowe doświadczenie okazało, że np. balon puszczony w Besançon utracił 734 metrów sześciennych objętości; balon na wystawie paryskiej w ciągu 73 dni stracił na wadze tylko 75 kilogramów. Przy objętości, wynoszącej 6,000 metr. sześciennych, kiedy ucisk gazu na powierzchnię jest daleko większy a krzywizna jej inna, balon utraci przypuszczalnie 124 metr. sześc. gazu w ciągu dni trzydziestu.

Wielka fabryka balonów, istniejąca w Hanowerze pod firmą „Continental Caoutschulcet Guttapercha Compagnie,“ wyrabia potrzebne materyały w sposób, niedający się porównać z żadną z fabryk francuzkich. Fabryka ta odegra niezawodnie w aeronautyce pierwszorzędną rolę.

Andrée wygłaszał swe poglądy na warunki wyprawy w sztokholmskiej akademii umiejętności, i nadmienił wtedy, że w skutek jasnych nocy podbiegunowych, temperatura powietrza jest tam prawie niezmienna, przez to zaś balon może się zawsze utrzymywać na tej samej wysokości. W razie napotkania mgły lub wichru, któreby oddziałać mogły na zawartość balonu, wyrzucenie balastu zdaje się usuwać zupełnie przeszkodę i pozwoli wznieść się znowu w górę, choćby ze stratą pewną gazu. Ciepłe promienie słońca wnet rozgrzeją balon i dawny lot mu powrócą.

Niemożemy się wdawać, oczywiście, w specyalny, techniczny rozbiór szczegółów, związanych z budową balonu; zapewne studyum takie dużo zawiera ciekawych danych, ale wymaga fachowej znajomości przedmiotu.

Należy tylko zaznaczyć, iż, zanim balon znajdzie się na Spitzbergu, upłynie jeszcze kilka miesięcy a przez ten czas muszą być dokonane liczne i trudne prace przygotowawcze.

Nareszcie odważni podróżnicy zajmą swe miejsca w łódce balonu. Będzie trzech śmiałych i nieustraszonych: jeden z nich siądzie u steru, aby o ile możności nadawać kierunek okrętowi powietrznemu (jakież to trudne i zwodnicze zadanie!); drugi spocznie obok instrumentów mierniczych i obserwacyjnych i będzie w księdze notował to, co się da oku ludzkiemu w tej krainie lodów spostrzedz; trzeci odpoczywa, a w porze, przeznaczonej na jedzenie, przyrządza pożywienie.

W tej „górnej“ podróży trzeba mieć na wszystko baczność i wytężoną uwagę.

Andrée chce z sobą zabrać kuchnię elektryczną, ale czy to jest bezpiecznie i czy nie grozi ztąd niebezpieczeństwo pożaru, to jest kwestya, którą słusznie porusza Moedebeck, wskazując na wapno niegaszone, jako najlepszy w tych warunkach środek gotowania; wapno może nadto służyć za balast.

Zimno, podczas lata, nie odgrywa żadnej roli w zamierzonej wyprawie. Według obliczeń Andrée go w lipcu 1882 r., średnia temperatura wynosiła *minus* 4,4 stopnie, najwyższa *minus* 11, 6, najniższa *minus* 0, 8. Wobec tego podróżnicy nie będą potrzebowali uciekać się do szwedzkiego ponczu i chłód podbiegunowy zniosą bardzo łatwo; nie będą nawet potrzebowali przyodziewać się w futra.

Podbiegunowa wyprawa przedsięwzięta przez Andrée'go i jego dzielnych towarzyszów budzi zajęcie powszechnie i zjednywa aeronautom ogólną sympatyę. Zdobędą ci podróżnicy taką samą sławę, jaką się po wszystkie czasy cieszy Krysztof Kolumb

Z bieżącej chwili.

— W Petersburgu ma być urządzony nowy konkurs zecerski i drukarzy pozamiejscowych. Konkurs składać się będzie z dwóch części. 1) Szybkość składania czcionek w związku z dokładnością roboty, więc z małą korektą. 2) Roboty akcydensowe na zadany temat, które mogą być przysyłane z każdej drukarni. Termin i warunki konkursu jeszcze nie ogłoszone.

— Dzienniki petersburskie donoszą, iż dozwoloną została sprzedaż detaliczna herbaty w drobnych paczkach, zawierających 1.96 funta z obłożeniem tychże banderolami skarbowemi.

— Przed kilku laty zaprowadzono w Warszawie karetę szpitalną do przewozu chorych zaraźliwych pod opieką dezynfektorów miejskich, umiejących się obchodzić z choremi tego rodzaju. Dawniej jeszcze przy kancelaryach cyrkułowych były w pogotowiu lektyki, udzielane bezpłatnie do przenoszenia chorych, co przecież nie wystarcza i chorzy są przeważnie przewożeni dorożkami, co może być rzeczą szkodliwą. Powstał też zamiar zaprowadzenia karet szpitalnych, które będą wysyłane po chorych na wezwanie telegraficzne z miejsc urzędowych.

— Zamiar urządzenia ochotniczej straży ogniowej podmiejskiej upadł dla braku funduszy. Mieszkańcy dalszych okolic Mokotowa i Okuniewa nie chcieli przyjąć tu udziału, licząc na pomoc straży fabrycznych.

— Staraniem Towarzystwa zachęty sztuk pięknych urządzono kursa rysunku z natury dla malarzy i rzeźbiarzy, pragnących nabyć wprawy w rysowaniu z natury. Kursa te są bezpłatne, a odbywają się od godziny 5—7 wieczorem. Bardzo wielu młodych artystów korzysta z nich

— W przeszły wtorek, w d. 28, rozpoczęła się w Salonie artystycznym na Nowym-Świecie na żądanie wystawców doroczna sprzedaż przez licytacyą obrazów, szkiców, rysunków, oraz przedmiotów sztuki stosowanej w liczbie 1,500. Ceny postawione są wyjątkowo tanie, a w czasie licytacyi wejście do Salonu jest bezpłatne i każdy oglądać może przedmioty wystawione na sprzedaż w godzinach od 1-ej po południu do 6-tej wieczorem.

— W ubiegłą niedzielę p. Wład. Umiński wygłosił odczyt o znaczeniu zwierząt w rozwoju cywilizacyi człowieka, wykazując usługi, jakie odbiera od tych zwierząt, pomagających mu w pracy i z których siły korzysta. Odczytów tych, urządzonych przez Towarzystwo opieki nad zwierzętami będzie szereg cały; wygłoszą je w dalszym ciągu p. p. Jankowski, Dygasiński, Szaniawski, Reimont, Sporzyński, D-r Flaum, Heilpern, Rycerski i pań dwie: D-r Zofia Jotejko i dentystka Boreiszowa. Odczyt p. Ksawerego Sporzyńskiego był powtórzeniem bardzo zajmującej rzeczy W „Krainie lodów,“ wygłoszonej przed miesiącym w szeregu odczytów na dochód Tow. Dobroczynności, a dodać należy że zajął niemniej jak poprzednio słuchaczy obrazem Islandyi, którą zwiedzał osobiście, dodając tu jeszcze koleje jej przeszłości i rozwoju jej kultury. Dopełniały rzecz obrazy niknące, widoki natury i siedzib ludzkich, obrazy ulic miasta Rejkiawick i życia jej ludności wśród surowej przyrody, jej skał, wodospadów i wulkanów.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: powieść **Czy to miłość?** przez Franka Frankfort Moore'a. Przekład z angielskiego, t. II, ark. 4.

TREŚĆ: Pogawędka, przez ?? — **Kędy droga?** Powieść współczesna, przez Wandę Grot-Bęczkowską (dalszy ciąg). — **Z Włoch**, przez Augusta.—**Balonem na biegun północny.**—**Z bieżącej chwili.**

Dodatek obejmuje: Czy to miłość? powieść przez Franka Frankfort Moore'a przekład z angielskiego tomu II-go, ark. 4. Przegląd mód. 35 wzorów i robót z opisem. — Sekreta gospodarskie.—Dyspozycya stołu.

Warszawa.—W Drukarni i Litografii S. Orgelbranda Synów, Krakowskie Przedmieście Nr 66. Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.
Дозволено Цензурою.—Варшава, 17 Января 1896 г.